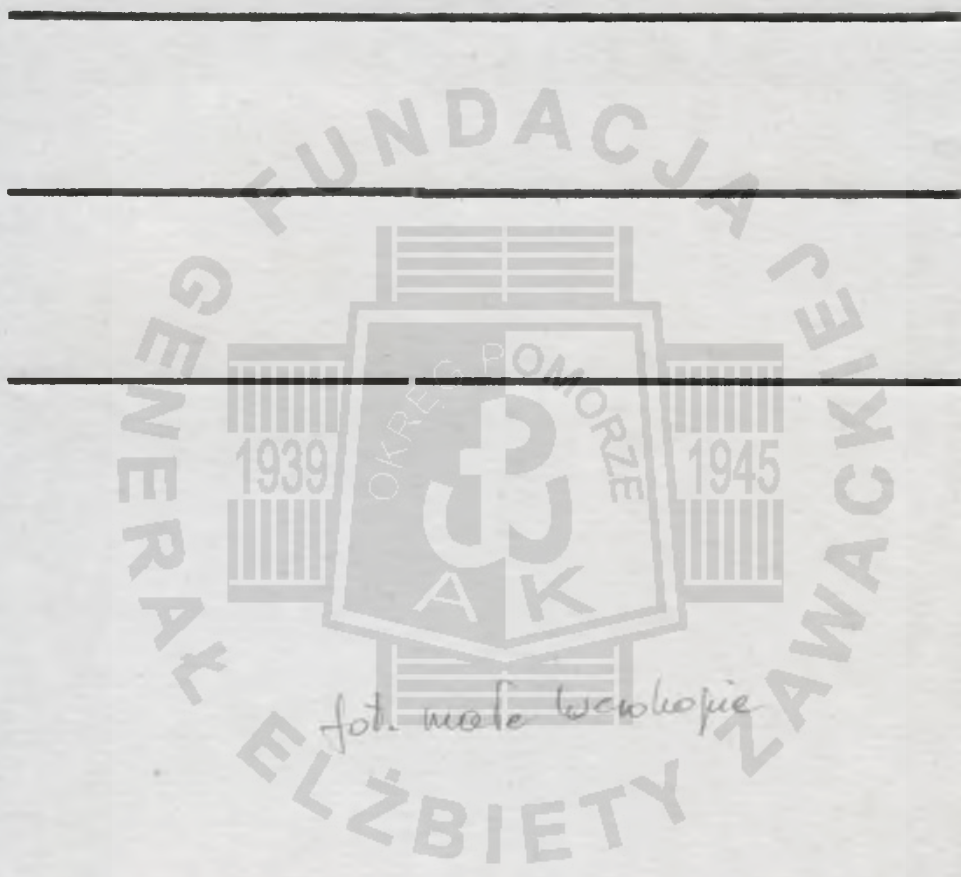


Zeforiceu teatru M. Czyniak - 2000
Puygot. do digitaliz. B. Rojch 2014



Part. radz.
LWP

skarata
e J Duda

††

Kpt. rez

DRÓZDZ-SATANOWSKA Zofia

tel.
syne

2133/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

2133/USK DROZDĘ-SATANOWSKA

Zofia

I./1. Relacja —

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓ - 202. II-2

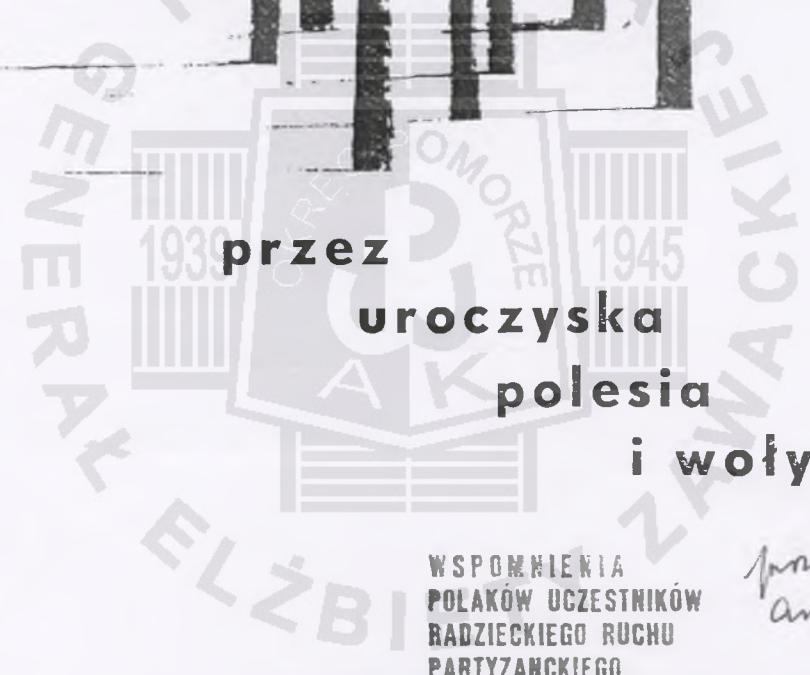
II MATERIAŁY UZUPEŁNIAJĄCE RELACJE

Z. Droszdz - Satanowska, Wojna nie przeszła obok, w:
Przez uroczyska Poleria i Wołynia. Wspomnienia Polaków
uczestników radzieckiego ruchu partyzanckiego,
ksero, k. 24, s. 1-24.



11/1

"Opowiadani"
Archi WSK
FTP PK



przez
uroczyska
polesia
i wołynia

WSPOMNIENIA
POLAKÓW UCZESTNIKÓW
RADZIECKIEGO RUCHU
PARTYZANCKIEGO

poniesat e dla
Archi WSK ptk f. Duda
XI 99

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Kpt. rez. ZOFIA DRÓZDŹ-SATANOWSKA
b. oficer polityczny Zgrupowania Partyzanckiego
redaktor gazety „Jeszcze Polska nie zginęła”



FUNDACJA

WOJNA NIE PRZESZŁA
OBOK

W zgrupowaniu partyzanckim „Jeszcze Polska nie zginęła” pełniłam funkcję zastępcy do spraw politycznych i jednocześnie redaktora gazety. I kiedy mam rozpocząć relację o swojej działalności politycznej, natychmiast wyłania się to zasadnicze pytanie: kiedy się ta praca rozpoczęła?

Nie w oddziale oczywiście. Bo to nie oddział zrodził pracę polityczną, a praca polityczna zrodziła zgrupowanie. Była ona wcześniejsza od działalności żołnierskiej, i to o dobre kilka lat.

W 1934 roku przybyłam jako nauczycielka do Wielunia, w pow. wysockim (pod Sarnami). Kiedy inspektor szkolny zdecydował się na przeniesienie mnie do Wielunia, nie omieszkał powiedzieć przy okazji z satysfakcją: „Tam odechce jej się rewolucji”. Znaczyło to, że zetknąwszy się z mieszkańcami Wielunia i ujrzawszy tamtejszych lewicowców ochłonę ze swoich gorących przekonań lewicowych.

Dlaczego miało się tak stać?

Wieluń słynął z niepokoju i buntów. Wystarczy powiedzieć, że nauczyciele uciekali stamtąd systematycznie, do ostatniego z nich strzelano z zaułka. Mogło to spotkać i mnie w każdej chwili. Nie mogę powiedzieć, iż nie przeżywałam strachu. Bałam się. Ale już pierwszej nocy zostawiłam drzwi do szkoły otwarte. „Jeżeli ma coś być, niech będzie od razu” — myślałam.

Więś była rzeczywiście straszna. Lecz nie w tym sensie, w jakim rozumiał to inspektor szkolny. Nędza, głód, epidemie sprawiły, że ludzie robili się niepokorni; szli do więzienia za byle co. We wsi istniała organizacja komunistyczna i byli w niej ukraińcy komuniści. Jak nawiązać z nimi przyjaźń, w jaki sposób? Czy to się uda?

Pierwszej niedzieli wyszłam na główną ulicę. Grupki ludzi na mój

widok rozchodziły się natychmiast. Podziało to na mnie tak przykro, że podeszłam do jednej z nich i zadarłszy głowę do góry powiedziałam: — Ode mnie nie trzeba uciekać. Przede mną nie należy się kryć.

W grupce stał Kirył Kucharec, wypuszczony niedawno z więzienia. Zmierzył mnie oczami, uśmiechnął się krzywo, ale rozmowy nie przerwiał. -

Chciałam bardzo, by mnie uznano tu za swoją. Pragnęłam, bym tak jak i inne kobiety mogła wejść na podwórze do sąsiadki i zapytać: „Naścia, Natalia, Hapka, a gdzie twoja fasola?” I otrzymać odpowiedź: „O tam, sąsiadko, w ogrodzie”. Myślałam, że jak się dowiedzą o moich przekonaniach politycznych, to wszystko pójdzie łatwo.

Lecz wkrótce zajęła, pochłonęła mnie do ostatnich ścięgien duszy zupełnie inna sprawa — los tutejszych dzieci.

Były wychudzone, głodne, obdarte i przemarznięte. Ginęły jak muchy to w rzece, to na bagnach, od gruźlicy i od tyfusu. Wreszcie już nie wiadomo od czego. Łkały po opłotkach zrozpaczone matki. Z cerkwi obok szkoły dźwigano odkryte trumienki z sinymi trupkami topielców i suchotników.

Było nas w szkole troje. Rzuciliśmy się do pisania przenajrozmaitszych listów do przenajróżniejszych instytucji i najrozmaitszych serc w głębi kraju, błagając o litość.

Serca nie okazały się zimne. Mieliliśmy wkrótce środki, by dzieci dokarmiać. Później, by je nieco odziać, kupić podręczniki szkolne i zeszyty.

I kiedy mogłam wreszcie pomyśleć znowu o nawiązaniu przyjaźni politycznych, już zawiązały się inne, serdeczne i gorące. Zdarzyło się tak, że gdy kiedyś, chcąc ugotować zupę fasolową, weszłam w obejście sąsiadki i zapytałam ze strachem: „Hanna, a fasola wasza gdzie?” — otrzymałam wymarzoną odpowiedź, na którą tak czekałam: „A tam, w ogrodzie, panienczka. Bierytie. Bierytie. Czemu nie”.

Byłam już jedną z wieluńskich.

Zaczęto przychodzić do szkoły. Najpierw niby urzędowo, oficjalnie. A potem z kłopotami, nieszczęściami, ze łzami. A wreszcie z najintymniejszymi sprawami rodzinnymi, małżeńskimi, wszelkimi.

Poproszono mnie na chrzciny. Przy długiej ławie siedzieli biesiadnicy, trzymając drewniane łyżki i czerpiąc z jednej ogromnej donicy pachnącej krupnikiem.

Jak jeść razem z nimi? Jak nie zdradzić, że żołądek ściska się z obrzydzenia, gdy z nie dojezonych łyżek kapie krupnik z powrotem do miski. Nie są przecież winni temu, że nie słyszeli o widelcach i nożach, o półmiskach i talerzykach. Wychyliłam kieliszek wódki. Wkrótce było mi już wszystko jedno. Mogłam jeść nawet ręką na sucho uprażoną kaszę i słuchać dziwnych, wspaniałych pieśni, które potrafiły mnie zbudzić nawet z najgłębszego snu. Upodobałam sobie szczególnie jedną z nich „Za riczeńku”. Wiedziano o tym we wsi i nawet w czasie przyjęć, gdzie nie było muzyki, otwierały się często w pewnej chwili drzwi i przybywał zamówiony przedtem harmonista, zaczynając jeszcze za drzwiami: „Wyjdu ja za riczeńku”.

Nie tylko ja lubiłam tę pieśń. Kiedy rozbrzmiała, zdarzało się, że z pieca zsuwały się nawet najstarsze kobiety i wypiwszy po kieliszku puszczały się w tan ze łzami w oczach, powtarzając ze wstydem: „Dura! Och, jaka ja dura!”

Kochali ci ludzie pieśni, muzykę i taniec. Czy mogli być wobec tego źli? A jeżeli byli źli, jeżeli nawet strzelali z zaułka — to dlaczego?

11/4

Pokochałam wieś, rzekę Horyń, bezlitośnie zatapiającą czasem cały dobytek, to znów przynoszącą na swych falach użyźniający muł, pokochałam las i dalekie niezmiernie bagna. Przywiązałam się do ludzi. Chrzciliam im dzieci, przysięgając uroczystość przed batuszką wiarę w prawosławnego Boga i spluwając z obrzydzeniem na prawosławnego czarta, co przy moim ateizmie, o którym wszyscy zresztą wiedzieli, było dosyć zabawne. Lecz miejscowi obywatele, sami nie bardzo pobożni, machali na wszystko ręką.

Kiedy przestałam się bać wsi, można było pomyśleć o realnej pracy politycznej. Właśnie rósł i krzepł faszyzm w Europie. Krwawiła Hiszpania. Co będzie, jeśli powiedzieć tutaj prawdę? We wsi istnieli szpicle. Po jednej z prelekcji w świetlicy, kiedy bez ogródek mówiłam, co i jak jest na świecie, jeden z nich podszedł do mnie i powiedział patrząc mi porozumiewawczo w oczy.

— Ja, pani, donoszę tylko o kradzieżach.

Na dwa lata wyjechałam do Warszawy. Tęsknota, jaką poczułam za opuszczonym Polesiem, sprawiła, że wróciłam. Ostatnim nie zbombardowanym pociągami z czteroletnią córką uciekłam do Wielunia w dniu wypowiedzenia wojny. Po drodze słyszałam już te straszne słowa: wojna, mobilizacja. Na miejscu, w Wieluniu, panował rozgardiasz i rozpacz. Potem wszystko nagle ucichło, ponieważ przyszła władza radziecka.

Nauczyciele polscy uciekli do centrum kraju. W Wieluniu pozostałam wkrótce sama. Nikt do mnie nie przychodził, nikt ze mną nie rozmawiał. Bądź co bądź, to przecież „polska pani”. Czyżby trzeba było wszystko od początku? Czy uczyniłam źle, przyjeżdżając w tak trudnym czasie właśnie tutaj...

Wybrałam się pewnego dnia do miasta, by zrobić zapasy na zimę. Siadłam na wóz zamyślona i smutna i nie spostrzegłam nawet, że wokół mnie zebrała się spora grupa kobiet. Jedna z nich powiedziała:

— Pani, jeżeli od nas uciekacie, to nas obrażacie.

Nie mogłam się powstrzymać i lzy pociekły mi z oczu.

Tak rozpoczął się drugi etap zażyłości i przyjaźni z Wieluniem. Dwie straszne kolejne zimy czterdziestostopniowym mrozem ścięły i odgrodziły wieś od reszty świata. Szkoła była jedynym miejscem, gdzie można było zorganizować jakiś ruch intelektualno-kulturalny. Ale szkoła stała pusta i głucha. Uważałam, że będąc za sanacji „panią nauczycielką” nie mam prawa zostawać nią dziś. Chciałam iść do pracy w fabryce.

I tak — ja siedziałam zamknięta w jednym z mieszkań we wsi, a szkoła, również zamknięta, stała w samym jej środku.

Jednego dnia, bardzo późną jesienią 1939 roku, powiedziano mi, że chce rozmawiać ze mną jakiś przedstawiciel wysockiej władzy rejonowej.

Przyszłam do Sielsowietu chmurna i pełna rezerwy. Ujrzałam mężczyzną w papasze i szynelu. Patrzyłam na niego wyczekująca i zła.

Roześmiał się.

— Zdrastwuitie — powiedział. — Paczemu nie naczynajetie urokow?*

Odpowiedziałam:

— Nie znam dobrze języka rosyjskiego. Znam tylko polski.

— Ba — odrzekł, dusząc się od śmiechu, i to czystym polskim języ-

* — Dzień dobry! Dlaczego nie zaczynacie lekcji?

kiem. — Ilu dobrych rzeczy można nauczyć się po polsku. To piękny język. Ja sam uczyłem się go przez osiem lat bez przerwy.

— Na uniwersytecie? — spytała oszołomiona.

— Nie. W warszawskim więzieniu.

Był to S. Malko, dziś generał w Wojsku Polskim, wówczas były więzień polityczny. Urodzony w Wysocku i trzymany w więzieniu za przekonania polityczne, odzyskawszy wolność w zawierusze wojny przybył do swojego rodzinnego Wysocka, by tu organizować nową władzę.

Już na drugi dzień byłam w szkole i wkrótce rozpoczęłam lekcje tak szczęśliwa, jakby nagle wszystko, co się stało, przestało już istnieć.

Uczyłam po rosyjsku, oczywiście. Razem z dziećmi pokonywaliśmy trudności akcentu, za który na jednym z festiwali ruchu amatorskiego, mimo otrzymanej pierwszej nagrody, wyśmiano nas zdrowo.

Jak ułożyły się w dalszym ciągu stosunki pomiędzy tymi bardzo nielicznymi nauczycielami polskimi, jacy pozostali na tym terenie, a przedstawicielami władzy miejscowej i przybyszami ze Związku Radzieckiego?

Jeżeli o mnie chodzi — źle. Byłam jak utajony dynamit. Prowokowałam nieomal do zajść. Podrażniona ambicją, przeczulone wrazenie, że odnosi się do mnie źle jako do obywatelki polskiej, powodowały stałe spieczęta, które, jakże często, musiał likwidować towarzyszył Malko.

Wreszcie odebrano mi kierownictwo szkoły. Ale znowu, niby skała, o którą można się wesprzeć, podtrzymywała mnie przyjaźń wieluńców. Jakby rewanzując się za mój stosunek do nich za czasów władzy polskiej, mieszkańcy wsi czynili, co mogli, abym nie była smutna. Szkoła nie zamykała się w dzień i w noc. W pewne święto zdarzył się incydent, którego nie zapomnę.

Pod wieczór poprzedzający święto jedna z kobiet przyniosła do szkoły duży biały placek mówiąc z zażenowaniem:

— Dwa upiekłam, panienczka. Jeden dla dzieci, a drugi dla was. Nie odmówcie.

Oderwana od rodziny i przyjaciół, pełna bolesnej jak rana tęsknoty za krajem tonącym we krwi, w tych dowodach przyjaźni szukałam podpory, aby nie dać się złamać przeciwnościom. Pracowałam za dziesięć; z dziećmi, z młodzieżą, z dorosłymi.

Latem 1940 roku na progu mojego domu stanęło dwóch niespodziewanych gości. Byli to studenci warszawscy, których po przekroczeniu Bugu skierowano w głąb Rosji, jako ludzi niepewnych, bez paszportów. Jeden nazywał się Zbyszek Sulkowski, drugi Robert Satanowski. Słyszałam o obydwu w Warszawie, ale żadnego nie znałam. Przysłał ich teraz do mnie mój młodszy brat, Bolesław, który po upadku Warszawy i zdaniu broni przez bataliony robotnicze, w szeregach których walczył, w Białymstoku szukał ochrony przed rozbestwionymi hitlerowcami i ukojenia w rozpacz.

— Pani brat powiedział — rzekł Robert Satanowski — że pani ma dobre serce i że nie zostawi nas bez pomocy.

Serce miałam przede wszystkim skołatane, ale o odmowie pomocy nie mogło być mowy. Obydwóch urządziłam w szkole.

Wkrótce Sulkowski przeniósł się do Wysocka, Satanowski pozostał nauczycielem w Wieluniu.

Kiedy w powietrzu zawisło niebezpieczeństwo niemieckie, na Ukrainie i Białorusi rozpoczęto właśnie kolektywizację. Utonęliśmy w agitacji, zdając sobie doskonale sprawę z tego, jaki ciężar bierzemy na swoje

11/6

barki. Na wsi krążyły podejrzone wieści, mówiono nieraz głośno o Niemcach, o Banderze, o wojnie. Odgrążano się przewodniczącemu „sielso-wietu” Kiryłowi Kucharcowi. My chodziliśmy z zebrania na zebranie wychwalając wyższość gospodarki kolektywnej nad prywatną i indywidualną.

Było coraz niespokojniej. Brat mój z Białegostoku został wezwany do Mińska. Redagowali tam wspólnie z Janiną Broniewską, Teofilem Głowackim i Anzelmem gazetę polską. Z Mińska otrzymałam w pewnej chwili list, domagający się natychmiastowego mojego przyjazdu. Potem drugi, w którym radził mi wziąć ślub z Satanowskim, jeżeli nie chcę zostawić go na pastwę wypadków.

W listopadzie 1940 roku wzięliśmy w Wysocku ślub, w gruncie rzeczy fikcyjny, gdyż ja byłam mężatką. Nim otrzymaliśmy paszport, Niemcy napadli na Związek Radziecki.

Zaistniała nowa sytuacja, w niczym do poprzedniej nie podobna. Deklarowane przez tyle lat głośno przekonania i poglądy stały się przytłaczającym dowodem winy. Namawialiśmy za kołchozami, nienawidziliśmy faszyzmu, uciekliśmy przed Niemcami. Niebo nad nami było czarne i skłębione.

Próba dostania się do armii spaliła na panewce. Nie zabrano nas przy ewakuacji. Pozostaliśmy sami.

Miłość, przyjaźń, wzruszenia i sentymety, wszystko to było teraz bezużyteczne. Panowało wokół okrucieństwo i śmierć. Głośno proklamowano mordowanie Żydów. Głoszono nienawiść do Polaków i Rosjan.

Cóż teraz uczynią moi dawni przyjaciele? W takiej sytuacji? Mieszka- liśmy u Żyda Berka, przyjęliśmy do domu trzy uciekinierki Żydówki, przybyła wreszcie któregoś dnia z Białegostoku zmaltretowana koleżanka moja, Żydówka, Lida Eiger. Czy można powiedzieć człowiekowi: „Idź dalej, bo się boję”, gdy on z trudem trzyma się na nogach. Powiedziałam: „Zostań”.

Nastrój oczekiwania, niepewności, ciszy przed burzą aż tętnił. Przer- wał go pewnego dnia Fomin, były białogwardzista i tutejszy diak, który wstąpił ochotniczo na służbę do Niemców, sądząc, że wrócą mu jego utraconą dumę oficerską. Przyszedł po pijanemu, aby mnie zastrzelić.

Lecz ja w dzień nie przebywałam w domu. Kryłam się w pobliskim lesie. Więc źle trafił. Kiedy ochłonął, przypomniał sobie, że wiedząc kim jest, nie wydałam go żadnej władzy. Podobno się nawet kajał. Jego nie- nawiść od tej pory zwróciła się przede wszystkim przeciw Kiryłowi Ku- charcowi, który ze wsi uciekł, i Grzegorzowi Nesterczukowi.

Następny był batiuszka Steciuk. Znany banderowiec rościł sobie pretensje do rządu dusz po przyjeździe Niemców. Nim okazało się, że Niemcy dadzą sobie radę i bez niego, szalał.

Wezwał mnie na zasadniczą rozmowę.

Szłam ciężko, połykając ślinę, nienawiść i niepokój.

— Proszę pani — rzekł, wskazując mi krzesło — nauczyciele, którzy okażą skrucę, mogą nadal być nauczycielami. Ale kiedy się nie upo- korzą, to... pani rozumie...

Słuchałam batiuszki i zimny dreszcz ślizgał mi się po całym ciele.

— Batiuszka — zaryzykowałam wreszcie ostrożnie — kiedy prze- śladowano księży ukraińskich, ja byłam bardzo wobec batiuszki toleran- cyjna. Czy nie należy mi się, na przykład, jakaś za to rekompensata? Jakiś rewanż?

Spojrzał na mnie tak piorunująco i tak zaczął chodzić nerwowo po mieszkaniu, że dalszej rozmowy nie wszczynałam. Wyszłam stamtąd z sercem pełnym lodowatego chłodu.

Na drugi dzień na wiecu, wygrażając pięściami, nie omieszkał wieloński batuszka zakomunikować.

— Są tu tacy, o których wszystko wiemy. Nie chcą się upokorzyć, ani nic zrozumieć. Dobrze. Będziemy się im wobec tego przyglądać.

Upokorzyć się, okazać skruchę, wejść znowu do szkoły, brać pensję i uczyć dzieci „Szczę ne wmerła Ukraina” — oczywiście faszystowska? Chwalić Niemców? Pomijając przekonania polityczne i patriotyzm, czy może człowiek za cenę własnego życia tak się straszliwie upodlić, tak publicznie zaprzeczyć samemu sobie. Tego samego dnia poszłam z sierpem w pole żąć u chłopów zboże, aby zarobić na życie.

Płacili mi kaszą i nie mówili nic. Ani tak, ani nie. Gra trwała w milczeniu. Raz nawet zetknęłam się z pogroźkami. Bali się, czy kochali Niemców? Czego się po nich spodziewali? Co myśleli o mnie? Co wreszcie zrobią?

Odzywały się od czasu do czasu huki armat i to dodawało nam mocy. Ale te huki wkrótce ucichły. Niemcy szli śpiesznie pod Moskwę. Zaczęły się szubienice, masakry, prześladowania Żydów. Jeden z moich uczniów, najbardziej zdolny, najbardziej pojętny, chciwie słuchający wykładów o równości, wolności, człowieczeństwie, któregoś dnia przespacerował się pod moimi oknami z białą policyjną opaską na rękawie.

Był to Antoni Chomicz.

Czułam, że mnie zaczepi, że nie utrzyma się w roli biernego zwycięzcy.

I stało się to któregoś dnia. Przyszedł.

— No i cóż? — zagadnął. — To pani tak źle mówiła na Niemców i Hitlera, a kto dał wolność Ukrainie? Kto? Że Żydów morduje...

Lida Eiger siedziała obok, za ścianą słychać było Berka.

Byłam zbyt przybita i nieszczęśliwa, by z nim dyskutować. Jedyne słowa, jakie znalazłam pod ręką, były:

— Trzeba trochę poczekać, Chomicz. Trzeba trochę poczekać.

Potem, chcąc zbagatelizować wszystko, zaczęłam o książkach, literaturze, która tak nas kiedyś łączyła. I w rękę, gdy przewracałam je na etażerce, wpadł mi gruby tom poezji Szewczenki.

— Niech pan to weźmie, Chomicz, niech pan to przeczyta. To także o Ukrainie.

Nie myślałam, że może mi pomóc w czymkolwiek Szewczenko. Ratowałam się odruchowo, byle jak, chciałam zmylić czujność przeciwnika. Zaszachować go. I Chomicz wkrótce odszedł. Ale przyszedł po jakimś czasie, lecz w innej sprawie, w innym charakterze.

— Gdy ja jestem we wsi — powiedział, spuszczaając nisko głowę — pani koleżanka może chodzić bez opaski i gwiazdy. Ale gdy inny policjant, to niech się strzeże. Niech się strzeże. Ja co innego. Pani wie.

Patrzyłam na niego w milczeniu. Czułam, że dławi mnie coś w gardle. Było mi tak źle, że omal nie wybuchnęłam płaczem.

Trzeci raz przyszedł już bez policyjnej opaski. Siadłszy ciężko na krześle, ponuro wymamrotał:

— Słyszała pani. Na miejsce ukraińskiego trójzęba powiesili swastyki. Bandera podobno aresztowany.

— Mówiłam — zaczęłam niewyraźnie — że trzeba poczekać.

Teraz zaczął o książce. O poezji Szewczenki. Mówił, deklamował, wzruszał się. Trzeba chyba być Ukraińcem, żeby aż tak reagować na Szewczenkę. Prawie nie rozumiałam tego, ale czułam jednocześnie, że przestają się go bać. Deklamujący poezje chłopiec, to przecież nie SS-man, nie policjant, nie drab na usługach Niemców.

Nadeszła zima i znowu straszna. W długie wieczory przerażał każdy szelest. Ale wielkie mrozy gasiły coraz bardziej ciepłe uczucia dla hitlerowców, wybawców Ukrainy. Wyznaczono kontyngenty.

— Obiecywali kaszę, a zabierają bydło.

Chłopi polescy nie lubili nic dawać na przymus, po prawdzie nie bardzo mieli co. Zima srożyła się coraz bardziej, a my czuliśmy, że wokół nas jakby zelżało. Że na ulicy czasem ludzie przystają, by się o coś spytać.

Strach jednak był silniejszy.

Pewnej ciemnej nocy zapukano do naszej izby. Byłam sama w domu.

Kto to, po co? Nie odwiedzano nas przecież wcale. Otwierałam drzwi ostrożnie, pomału. Na progu stanęła żona stróża szkolnego.

— Pani! — zawołała bez tchu — zabierajcie dziecko i uciekajcie do nas. Przyjechali Niemcy. Będą mordowali Żydów.

Trzasnęła zaraz drzwiami i wkrótce odgłos jej nóg zlał się z szalejącą na świetle wichurą. Spojrzałam poza siebie. Patrzyły na mnie duże, ciemne oczy Berka. Głosem takim, że ledwie go usłyszałam, powiedział:

— Idźcie, pani, idźcie. Dziecka waszego szkoda.

Straszna to była noc. Nie zmrużyliśmy wszyscy oczu. Rano okazało się, że Niemcy odjechali, że alarm był przedwczesny. Ale to, że znalazł się ktoś we wsi, kto przyszedł mi na ratunek, świadczyło, iż coś się zmienia.

Berko odkrył, że we wsi pokazał się Kirył. Nie mogliśmy już dłużej dławić się bezczynnością. Satanowski udał się do Kiryła. Wkrótce Kirył, Satanowski i ja umówiliśmy się na spotkanie nocą w naszym mieszkaniu. Berko nie oponował.

Tak powstała antyfaszystowska organizacja, z której w przyszłości zrodził się pierwszy nasz oddział partyzancki, najpierw ukraiński, potem polski i wreszcie zgrupowanie, któremu nadaliśmy nazwę „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Pierwszym człowiekiem, który przyłączył się do nas, był Antoni Chomicz. Pewnego dnia powiedzieliśmy mu, ryzykując odważnie, że będziemy walczyli przeciw Niemcom. I że wierzymy, iż on nam pomoże. Nie wydał, nie zdradził. Pozostał z nami.

Drugim był Jan Szafarczyk, Polak, który pracował tu kiedyś przy stacji na kanale. Oddzielony od kraju w 1939 r. przez linię frontu, żył się jak i my z miejscową ludnością, którą ujął swoimi niewyczerpanymi zasobami humoru i grą na skrzypcach. Ten człowiek, nie mający początkowo żadnej orientacji politycznej, później stał się jednym z najdzielniejszych partyzantów, jednym z najgorliwszych zwolenników demokracji i socjalizmu. W oddziale pełnił wiele bardzo odpowiedzialnych funkcji.

Trzecim był Wincenty Rożkowski, kolega, nauczyciel z Żadenia.

Jakżesz czuliśmy się mocni, zdając sobie sprawę, że działamy już nie w pojedynkę.

Nocne spotkania, które odbywały się u nas, to znaczy w domu Berka, dzielnie solidaryzującego się z nami, były źródłem nowych sił wstępujących w skołotane serca.

A cóż na to Wieluń? Pamiętam jeden fakt, bardzo charakterystyczny. W biały dzień przybył na rozmowę z nami Aleksiej z Choczyna. Satanowski leżał chory na tyfus. Wysłałam przed dom, by czuwać w razie ewentualnego niebezpieczeństwa.

Podeszło do mnie wtedy kilku chłopców.

— Pani — spytali — kto to do was przyszedł?

Spojrzeliliśmy na siebie uważnie.

— Pewien człowiek — powiedziałam — który chce sobie wyprawić skórki u jednej z uciekinierek. Czy musicie to sprawdzić.

Machnęli ręką, popatrzyli bezradnie i dodali:

— My tylko tak. Ale jak wy, pani, mówicie, to wszystko w porządku. Powiemy, co wiemy. Wy przecież tak mówicie.

Ofiarował nam wkrótce pomoc jeden z Dawidowiczów (a było ich tu kilku), uważający się z racji brzmiącego po polsku nazwiska za Polaka.

Budziła się wieś, którą kochałam jak rodziną. Wychodziliśmy już teraz częściej na ulicę. Zagadywano nas. Przeklinano czasy, nie mówiąc, że niemieckie. Organizacja rosła tuż pod bokiem batiuszki i Fomina.

Tymczasem wywieziono do wysokiego getta Żydów. Wstrząsające to było widowisko, gdy stary Berko, nie dając poznać, jak cierpi, spojrzawszy na tłum zebranych zaśpiewał:

„Hej, pajeżdżaj na wesilie”.

Wkrótce potem przy pomocy Chomicza przedostałam się przez druty kolczaste, by zanieść mu trochę tytoniu, trochę pieniędzy i herbatę. Wyszedł naprzeciwko smutny i przygarbiony. Brał tytoń i herbatę, a ręce dygotały mu tak, że wszystko padało na ziemię. Potem odszedł. Ale wrócił za chwilę i patrząc mi w oczy zapytał:

— Starego Żyda przyszlście odwiedzić do getta? Dlaczego?

Głos mu drżał i lzy kapwały na brodę.

— Berku — zawołałam — uciekajcie! Pomożemy wam przedostać się do lasu. Podpalcie getto i uciekajcie. Wszyscy. Czy słyszycie mnie?

— Dobrze, pani, dobrze — odpowiedział. — Stary Berko jeszcze pokaże, co umie. Dobrze. A wy tu już nie przychodźcie, nie bierzcie doli żydowskiej na swoje plecy. Nie trzeba.

Berko nie podpalił getta, ale jako jeden z niewielu uciekł. Zamordowano go w lesie.

Wkrótce potem przyjechała do wsi karna ekspedycja SS. Byłam w domu sama, Satanowski przebywał w Lutyńsku u doktora Józefa Parnasa. O czwartej nad ranem w okna mojego domu zaczęły walić karabiny, obudził mnie straszny, niemiecki bełkot.

Ubierałam się z koszmarną świadomością, iż wszystko się wydało i że trzeba będzie zaraz zapłacić głową za ten tak skromny, tak niewielki, antyniemiecki bunt.

Wysłałam na ganek. Na wprost mnie stał z naganem w ręku wysoki, piękny mężczyzna w niemieckim mundurze. Obudziło się moje dziecko i zaczęło krzyczeć spazmatycznie, rozpaczliwie. Schrypniętym głosem, oparłszy się o drzwi, powiedziałam, że nie pójdę nigdzie, póki nie pozwolą mi zabrać ze sobą dziecka.

Oficer stał bez słowa. Potem powiedział po rosyjsku.

— *Pożałujsta.*

To nie był Niemiec. To był własowiec. Być może, iż w sercu tego człowieka zrodziła się jakaś odrobina współczucia, czy może tylko wstydu, bo odwrócił się i odszedł.

Wtedy ujrzałam, że to nie tylko mnie wywleczono z łóżka. Oto, bijąc kolbami i kopiać, Niemcy zganiali na środek wsi wszystkich jej mieszkańców.

Mężczyzn wkrótce odłączono i skatowawszy zabrano do obozu, kobiety po długich godzinach męczącego oczekiwania na śmierć — pod wieczór zwolniono do domów, strzelając na postrach.

Dopiero wówczas dowiedziałam się, iż wieś nie oddała kontyngentów i że dano jej do zrozumienia, czym to pachnie.

Wieluń się zbuntował.

Ale nam tym bardziej następowano na pięty. W jakiś czas po tym w biały dzień wpadli do wsi Niemcy wraz z Fominem.

Jechali wprost na moją chatę. Patrząc na nich przez okno, nie mogłam się poruszyć. Moja córka, sina ze strachu, wyciągnęła skądś grabie i zaczęła grabić podwórze, mamrocząc nieprzytomnie:

— Jak zagrabię, to będzie czysto i nie zamkną cię do więzienia, mamusiu.

Potem zaczepiwszy nogą o grabie, boleśnie runęła na ziemię.

Niemcy minęli mój dom. Walili już w bramę zagrody Kiryła, którego na szczęście nie było. Rąbali chlew, stodołę, plądrowali dom. W jednej belce znajdowały się ukryte, pisane na cieniutkiej bibułce, protokoły naszych zebrań.

Czerwony, dziki, pijany wpadł do mojego domu Fomin. Oznajmił mi:

— Jestem gentlemanem. Jeżeli dziś nic tam nie znajdą — odjeżdżając, kiwnę pani głową. Jeżeli nie kiwnę — uciekać! Uciekać!

Odjeżdżali po godzinie. Lekko, prawie niezauważalnie, Fomin pochylił głowę.

Po raz drugi musiał zniknąć ze wsi Kirył. W parę dni później otrzymałam anonimową kartkę, zawierającą takie zdanie:

W ciągu piętnastu minut proszę opuścić wieś. Inaczej śmierć.

W ciągu piętnastu minut spakowałam węzełek rzeczy i wzięwszy dziecko za rękę wyniosłam się do innej miejscowości.

Nie mogłam jednak przebywać tam długo. Zgłosiłam się po jakimś czasie do Stolina, do inspektora szkolnego, Polaka, którego znałam jeszcze sprzed wojny, przedstawiając mu szczerze swoją sytuację i prosząc, aby mi dał pracę we wsi Perebrody (była to wówczas jedyna wieś, gdzie podobno pojawiali się partyzanci). Usłyszawszy o Perebrodach inspektor krzyknął: „Ależ tam są partyzanci!”. Potem zmitygował się i dodał: „Prawda, pani nie boi się partyzantów”.

Starania czynił również Satanowski. Ostatecznie jemu udało się otrzymać posadę sanitariusza w Jeziorach, gdzie też przenieśliśmy się wkrótce.

W Jeziorach nowa sytuacja, nowe zadania i nowe kontakty oraz pierwsze spotkania z radzieckimi partyzantami. Nie było nocy, by ktoś nie pukał do drzwi. Niemcy? Banderowcy? Partyzanci? Często byli to błakający się po lesie Żydzi, przychodzący po pomoc, po sól, czasem tylko po dobre słowo.

W początkach grudnia 1942 roku wieś została otoczona przez Węgrów. Zdążyliśmy ująć do lasu, większość mieszkańców razem z nami.

Nocą zakradłam się do wsi, by zbadać sytuację. Zdawało się, że jako kobieta będę mogła to zrobić najlepiej.

Rachunek zawiódł. Złapano mnie. Bito, maltretowano, a o świcie wyrzucono na ledwie zamarzające jezioro.

Wyczołgałam się do lasu. Zdarzają się czasem dziwne rzeczy. Lód wyginał się, trzeszczał, a jednak wytrzymał i to ocaliło mi życie. Pierwszy raz spoglądałam tak z bliska śmierci w twarz.

Pozostawiwszy dziecko na chutorach u Fiedora, sama dostałam się na chutory Zielone. Czekał tam na mnie w gajówce Chomicz po przejściu z grupą policji udryckiej na stronę partyzantów (konkretnie Burzyńskiego). Satanowski wyruszył na poszukiwanie oddziałów Kowpaka.

Śmierć była wszędzie. O świcie pewnego dnia na dachu gajówki załtańczyły kule. Wybiegłam z izby, dopadłam wysokich traw na bagnie i spoglądałam poza siebie. Zielone płonęło. Nim zgłębiłam smak odzyskanego życia, wymordowano prawie całą tutejszą ludność za sprzyjanie partyzantom.

Ogarnięta szaleństwem, szłam przed siebie, przez las, do dziecka. Przemykali pomiędzy drzewami ludzie, unikając się nawzajem, wyły psy, gdzieś tam płonęły ogniska.

W każdej niemal wsi byli Niemcy.

Instynkt zaprowadził mnie wprost na miejsce, gdzie skryli się ludzie z chutoru, na którym była córka. Wzięłam dziecko na plecy i poszłam przed siebie w stronę Dąbrowicy, z której Niemcy wyruszyli na podbój partyzanckich lasów.

Przeszłam około czterdziestu kilometrów, kierując się oślepyłymi oczyma przez skłębione o tej porze wody kanałów, przez bagna, wśród ciemnej, jesiennej nocy.

Rano dostałam się do Białej.

Tu w Białej miałam koleżankę, nauczycielkę. To jedna z tych, która upokorzyła się, otrzymała posadę w szkole i uczyła. Przed niczym jej to nie uchroniło.

Ujrawszy mnie, skamieniała. Jej sytuacja była może bardziej zawiła niż moja. Z jej domu poszedł do lasu Żyd, późniejszy nasz partyzant. Wisiało nad nią ponure niebezpieczeństwo, z którego częściowo tylko zdawała sobie sprawę. Miała również kilkuletnią córkę.

— Uciekaj do lasu — powiedziałam.

Popatrzyła na mnie ze strachem i ze zdumieniem.

— Nie mogę — wyszeptwała. — Boję się. Ty to co innego. Ty się pewnie nie boisz.

— To nie prawda! — krzyknęłam. — Boję się. Czasem zdaje mi się, że boję się więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Ale kto o to pyta? Ratuje dziecko.

— Mówią — powiedziała ostrożnie — że jesteś złą matką, skoro narażasz swoje dziecko na takie niebezpieczeństwo.

— To się okaże później — odpowiedziałam ponuro. — A ty kieruj się własnym rozumem. Tu cię nie czeka nic dobrego.

Patrzyła na mnie bezradnie, żałośnie i tchórzliwie, nie wiedząc nic o tym, że śmierć już ku niej zdążyła, że zastrzeli ją Niemcy tu, w biały dzień, za kilka czy kilkanaście dni, razem z dzieckiem.

Z prawdziwą ulgą wymykałam się z jej mieszkania. Wieczorem wstąpiłam ukradkiem do naszego przyjaciela, młodziutkiego ucznia gimnazjum, Tadeusza Stańskiego, syna miejscowego felczera.

Przyjęto mnie gościnnie. A jednak coś tu wisiało w powietrzu i mimo woli oczekiwałam, że się coś stanie.

I rzeczywiście. W pewnym momencie Tadzio, zerwawszy się z krzesła, stanął twarzą w twarz z ojcem i zaczął mówić dobitnie:

— Dostyc już tego wszystkiego. Kobiety z dziećmi w lesie, a ja obserwuję wypadki. Oznajmiam ci, ojcze, że idę do partyzantki. Nieodwołalnie. Słyszysz? Nie próbuj nawet oponować.

Nie wychodziłam, a uciekałam z tego domu, powiadomiona dodatkowo, że policji doniesiono o obecności w Białej kogoś niepowołanego. Szłam przez łąki i bagna, okrążając Wieluń.

Był tak blisko. Może pójść tam? Zapytać, co teraz myślą?

Ale nagle z moczarów wyłoniło się kilka furmanek, naładowanych dobytkiem. Kiedy zrównały się ze mną, poznałam oszołomiona, że jada ludzie z Wielunia.

A więc i oni kryli się przed Niemcami. Jeden z chłopów zaciskając pięści groził skłębionemu niebu.

— Widzicie, jak jest. Wy, pani, pierwsza mieliście rację. Nie może poleski naród żyć z Niemcem poganinem. Nie może.

W Worobinie panował spokój. Żyli tu ludzie tak, jakby się nic nie stało. Czterdzieści kilometrów i otwierał się zupełnie inny świat. Zdumiewający, nieprawdopodobny, banalny i zły.

Zostawiłam dziecko w Worobinie u znajomych i z powrotem. Nie miałam prawa narażać nikogo. Wróciłam do Fiedora na Chomce. Wśród chłopów czułam się lepiej. Czekałam na Satanowskiego.

Wataha niemiecka przesunęła się na wschód. Tam gdzieś, jak mówiono głośno, Satanowski zginął. Byli tacy, którzy przysięgali, że widzieli jego trupa.

A więc taki był epilog.

Miesiąc prawie siedziałam pod oknem na Chomcach, wyglądając nie wiadomo na co. Nie jadłam, nie spałam. Żona Fiedora załamywała ręce:

— Jedzcie, pani. Dziecko macie i musicie żyć.

W końcu stycznia Satanowski wrócił. Ale już na drugi dzień płonął Worobin, gdzie ukryłam córkę. Więc znowu, nie oglądając się na nic, do Worobina po dziecko. Czekало nas jeszcze wiele ciężkich chwil. Ale te były chyba najgorsze.

Pierwszy oddział ukraińsko-polski, który zorganizowaliśmy, nie działał więcej niż miesiąc, gdy zaczęliśmy myśleć, pragnąć i marzyć o zorganizowaniu partyzantki polskiej.

W okolicach Klesowa, Włodzimierza, Kowla, zorganizowała się i trwała „z bronią w ręku” partyzantka akowska. Stworzyć inną, polską, lewicową, współpracującą z partyzantką radziecką — ta myśl nie dawała nam spokoju. Byli tacy, którzy twierdzili, że to mrzonki i szaleństwo. My byliśmy uparci.

Zaczęliśmy. Od czego? Od pisania płomiennych ulotek. W zmęczonych ciałach i duszach mieliśmy dosyć jeszcze tego patosu, który jest tak nieodzowny w trudnych czasach. Jednym palcem na zdobytej maszynie wystukiwałam nieomal całymi dniami wezwania zaczynające się od słów: „Rodacy, wróg zdeptał naszą ojczyznę” itd., „Honor Polaków” itp. Któregoś dnia spostrzegłam, że umiem pisać na maszynie. Przemawialiśmy w imieniu walczących polskich partyzantów, choć na razie było nas tylko troje — Satanowski, ja i moje dziecko. Ale mieli przybyć wkrótce: Rożkowski, Szafarczyk, Stański, Parnas, Szaden, Heko i jeszcze kilku Polaków z Białej nad Horyniem.

Ulotki trafiły do Klesowa i dalej, wywołując niesłychany ferment wśród mieszkających tam rodzin polskich, wyczekujących na akowców. Wkrótce mieliśmy pierwszą wizytę.

Oddział nasz liczył raptem kilkudziesięciu żołnierzy, chłopów polskich, uzbrojonych byle jak. Ale zainscenizowaliśmy spotkanie w taki sposób, by to nie było widoczne. Dyskusja Polaków z Polakami, na tym terenie, w owym czasie, to sprawa trudna i drażliwa. Granice Polski, Lwów, Wilno, socjalizm... Znaleźliśmy tylko jeden punkt, w którym zgadzaliśmy się, że stanie z bronią u nogi jest dla Polaków hańbiące.

I tak rozstaliśmy się. Polacy z Klesowa odeszli. Przybyli Polacy z Białej, Wielunia, Lutyńska, stamtąd gdzie pracowaliśmy wcześniej: znaleźliśmy już przyjaciół osobistych i politycznych.

Polacy w oddziale. To wielka radość, która jednak trwała krótko. Przybycie Polaków do Jezior stało się przyczyną konfliktu, którego się nie spodziewaliśmy. Rozegrał się on pomiędzy Satanowskim i Hodunką, który z grupą przyłączył się do nas. Pośredniczył gen. Saburow.

Zdobyć zaufanie u ludzi z Wielunia, Jezior, Chomca, Żadenia... Jakże wydało się to łatwe wobec trudności zdobycia zaufania u partyzantów radzieckich i ich dowódców. Aż do zakończenia wojny ten problem ciążył często nad naszymi poczynaniami.

Saburow odebrał zorganizowany przez Satanowskiego oddział i oddał go Hodunce. Chodził do niego Satanowski, chodzili żołnierze, tłumaczyli, prosili i nic.

Satanowski bił głową o ścianę.

Udałam się do Saburowa sama. Serce waliło mi ciężko. Poczucie krzywdy i niesprawiedliwości odbierało siły. Myśli kłębiły mi się w głowie i każda z nich była ciężka niby ołów.

Gdy otworzyłam drzwi do izby, w której znajdował się Saburow, śmiano się tam na cały głos. Smagnęło mnie to jak nieoczekiwany policzek. Cofnęłam się i usiadłam na jakiejś ławie. Ciekły mi po twarzy trudne do powstrzymania łzy.

Wyszedł jeden z oficerów radzieckich, Wołkow, i zbliżywszy się do mnie zapytał:

— Dlaczego nie wchodzicie, towarzyszeko Satanowska?

Odpowiedziałam:

— Wejdę wtedy, gdy tam przestaną się śmiać.

Wołkow odszedł i wkrótce otworzył drzwi zapraszając mnie do środka.

Tym razem było zupełnie cicho. Wokół ogromnego stołu siedziało bardzo wielu radzieckich oficerów. Wśród nich gen. Saburow.

Patrzyłam w jego twarz, bystre oczy, na które spadała grzywa białych włosów.

Mówiłam po rosyjsku ze złym akcentem o tym, co powinni byli wiedzieć. Dławiły mnie łzy i rozpacz. Nim skończyłam, Saburow wstał.

— Czego chcecie ode mnie, towarzyszeko Satanowska?

— Tylko tego, by mnie zrozumiano.

Myślał chwilę. Drgnęły mu usta.

— Popełniłem pomyłkę — rzekł. — Chcę ją bardzo naprawić. Powiedźcie Satanowskiemu, że jeśli się zgodzi, zrobię go swoim zastępcą, jeśli nie — oddam mu dowództwo swego najlepszego oddziału zwiadowczego. No, a gdybyście w dalszym ciągu trwali w swojej szaleńczej pasji organizowania oddziału polskiego, to organizujcie... Ze wszystkich sił pomogę.

Patrzyłam na niego, nie mogąc pojąć. Ten srogo wyglądający generał miał serce dobrego człowieka. Był w tej chwili wzruszony tak jak ja.

— Powtórzę Satanowskiemu — powiedziałam. — I dziękuję.

Wracalam lzejszym krokiem. Zdecydowalismy z Satanowskim, ze pozostaniemy przy swojej „sprawie polskiej”. Tak to powtorzył Saburowowi. Garstka 15 Polaków wyruszyła obok jego boku i obok jego oddziałów by zdobywać wawrzyny i wielkie zwyciestwa.

Przyszły kiedyś. Ale przecież nie zaraz i nie tłumnie. Mnie tymczasem dopadł tyfus plamisty. Wszystko stało się nagle obojętne i dalekie. Marsze, potyczki, niebezpieczeństwo. Leżałam na wozie, potem w jakiejś izbie i nic mnie to nie obchodziło. Dostawałam skurczu serca tylko wtedy, gdy z daleka widziałam swoje dziecko.

Odwiedzał mnie Saburow, patrząc na moją twarz smutny i zatroskany. Przychodził Satanowski, by radzić się w tak ważnej sprawie, jak stanowisko nasze wobec faktu opuszczenia Związku Radzieckiego przez wojska Andersa. Kiedy z takim trudem zdobyliśmy zaufanie, podcinano nam nogi bez skrpułów. Trzeba było przemówić do żołnierzy. Dyktowałam więc Satanowskiemu treść ulotki, czując co chwila, że mówię nie na temat. Wreszcie gorączka wzmogła się i straciłam przytomność.

Poznałam, że wracam do zdrowia, uprzytomniwszy sobie, iż ogarnia mnie ogromny, dokuczliwy smutek. Nie miałam sił, a nie doszliśmy nawet do połowy drogi. Skurczona, przykryta lichymi kocami, czułam się tak bezradna.

Pewnego dnia, uniósłszy głowę, usłyszałam, że ktoś nuci niewyraźnie refren, który przypominał mi zawsze czasy przedpartyzanckie. Otworzyłam oczy. Patrzył na mnie Szafarczyk, siedząc i przyciskając do piersi karabin. Wydawał mi się starcem. I tego potężnego mężczyznę zwałił tyfus. Przy tym wracając do oddziału po wysadzeniu pociągu, wpadł w bagno i przeziębził się. Wychodził teraz z trudem i bardzo powoli z tyfusu i zapalenia płuc. Poumieralibyśmy na pewno, gdyby to było w zwykłych czasach. Tam, z wyglądu podobni do szkieletów, mieliśmy siły psychiczne, o których nie może śnić człowiek otoczony dobrobytem.

Gdy podpierając się kijem, zaczęłam powoli chodzić po izbie, a potem po dworze, Satanowski przyniósł mi wiadomość, iż zaproponowano nam przyjęcie do partii. Był to koniec kwietnia 1943 roku. Pewnego wieczoru przyszedłam na umówione miejsce. Był tam organizator partyjny, przybyły z Kijowa. Uśmiechnął się do mnie i powiedział, że muszę „złożyć” życiorys.

Więc powiedziałam, że nazywam się Zofia Satanowska. I nagle zrozumiałam, że więcej nic nie wiem, że nie posiadam życiorysu, gdyż przekreślił go i zmiotł tyfus. Złożyłam ciężką głowę na rękach i przyknuwszy oczy trwałam w ciemnościach wirujących niespokojnie.

Przestraszony Satanowski powiedział to, co wiedział o mnie. Ścisł nam później ręce i witano jako kandydatów WKP(b).

3 maja wyjeżdżaliśmy do Moskwy, gdzie wzywały dowódcę oddziału ukraińskie władze partyzanckie. Z leśnego lotniska samolot odleciał nocą. Schorowana dygotałam z zimna. Wszystkim, co miałam, otuliłam dziecko. Im wyżej, tym chłodniej. Lizały samolot reflektory. Zmęczony Satanowski beztrósko spał, ja nie zmrużyłam oka.

I Moskwa. Czy może istnieć potężniejsze miasto na świecie niż to, jakim po lesie wydawała mi się Moskwa? Nagły przeskok z obozu partyzanckiego, z ciągłego niebezpieczeństwa, huku dynamitu, chorób, głodu, strzelaniny, zasadzek i okrażeń do miasta żyjącego nieomal normalnym, choć trudnym i pełnym wyrzeczeń życiem, był oszołamiający. Czuliśmy się jak zebracy w pałacu.

Nie jestem w stanie przypomnieć sobie, w jakim gmachu przyjmowano nas śniadaniem. Stanęliśmy w drzwiach ogromnej sali, na środku której znajdował się stół nakryty bogato i wystawnie.

Chwila ciszy. I nagle, trzymające się z tyłu moje dziecko, wyrwało się do przodu. Patrzyłam na nie ze zdumieniem. W łapciach, tutaj jakoś drastycznie widocznych, w długiej po kostki spódnicy, w chustce na głowie, pociętej przez wszy, taka żalosna miniaturka wychowanej w nędzy Poleszuczki, biegło nieprzytomnie do stołu, by brudną ręką utknąć w jednej z tac.

Spojrzeliliśmy oniemieli. I zrozumieliśmy.

Taca pełna była cukierków.

Jeszcze tego dnia, już w hotelu „Moskwa”, zjawił się mój brat. Spotkał się po kilku latach. Był bladej i smutny. Cierpiał ciężko na serce i na dziwną manię prześladowczą. Wyrzucał sobie, że opuścił ojczyznę.

— Nie uspokoję się — powtarzał maniacko — póki nie zginę.

Kilkakrotnie odsyłano go z frontu z powodu nieuleczalnej choroby. Lecz on za każdym razem wracał na inny odcinek i wstępował do armii jako ochotnik. W tej chwili był w stadium szukania nowych dróg.

Dziwna rzecz, choć według diagnozy lekarzy jego serce dawno już winno było przestać bić, biło ciągle. Mówił, że nie umiera się w czasie wojny na serce, że umiera się od kuli.

Zginął od kuli w przeddzień wyzwolenia, na pierwszej linii frontu. Ale nie przeczuwaliśmy jeszcze tego.

Mieliśmy w Moskwie bardzo wielu kolegów z Warszawy. Wśród nich: Jana Freya, Brunona Langa, Zdzisława Turlejskiego, Antosiewicza i innych.

Rozpoczęły się między nami żarliwe, gwałtowne dyskusje. Czasy dostarczały aż nadto tematów. Inne oni snuli domysły na temat sytuacji w kraju, inaczej myślny ją znali. Rozbieżności i nieporozumienia. Krótkie spięcia. Odwiedzała nas Janina Broniewska ze swym uroczym synkiem, Jerzy Borejsza gorąco przejęty sprawami kraju i przyrzekający, że po wojnie zrobi ze mnie literatkę, Stefan Jędrychowski, tak jakoś spokojnie i optymistycznie patrzący na wydarzenia.

Włosy po pierwszej wizycie u fryzjera wyszły mi z głowy, normalne następstwo tyfusu, wysokie buty kępowały bardzo.

Jedynym miejscem, gdzie chętnie spędzałam czas, to ogródek kremłowski. Przychodziła tam czasem Zofia Dzierżyńska, by popisywać się swoją piękną polszczyzną, niczym nigdy nie skażoną.

Dziecko moje skierowano do polskiego Domu Dziecka w Zagorsku. Było nareszcie bezpieczne. Pomiedzy Satanowskim i władzami partyzanckimi rozpoczęły się długie rozmowy. Przyjął go Dymitrow i przebywający wówczas na froncie pod Orłem Nikita Chruszczow.

Czas się dłużył. Z oddziału nadeszły złe wieści. Zginął Bobko i dzielny, bohaterski, półżołnierz, półuczeń Tadeusz Stański. Raniono Szadana. Zrozpaczeni chcieliśmy wracać natychmiast, a tu wciąż coś nie wychodziło.

I nareszcie. Kilku kolegów miało jechać z nami. Mój brat również. Lecz w tym czasie przybył do Moskwy pík Berling. Zrodziła się idea organizacji 1 dywizji i nasze sprawy wydały się mniejsze. Brat mój odjechał do Sielc.

Odlatywaliśmy we wrześniu. Otrzymaliśmy cztery samoloty. Mieliśmy zabrać radiostację i ludzi. Broń postanowiono nam dostać. Nie wie-

rzyłam. Byłam pewna, że to nie nastąpi. Wbrew Satanowskiemu uparłam się, że poza radiotelegrafistami i Kochańskim, wyznaczonym na zwiadowcę, nikogo więcej. Radiostacje, drukarnie, a potem broń, broń, broń.

Miałam rację, nieszzybko otrzymaliśmy następną.

Pod wieczór znaleźliśmy się na niewielkim, przyfrontowym lotnisku. Wiał niespokojny wiatr. Obciążeni spadochronami patrzyliśmy tępo przed siebie, gdzie za frontem czekało nas znowu to, co opuściliśmy przed trzema miesiącami: hitlerowcy i faszyzm.

Jedyna kobieta wśród mężczyzn zwróciła uwagę lotnika, Bohatera Związku Radzieckiego, który miał nas przerzucić przez front. Nie wiem, skąd w tym człowieku mimo przeżyć wojennych było jeszcze tyle serca, tyle ciepła, z jakim pocieszał nas, rozweselał, podtrzymywał.

— Jeżeli zestrzelą, no to cóż? Tacy sławni partyzanci i taki sławny lotnik. Zorganizujemy oddział, od którego ziemia zadrży.

I mrugał, i śmiał się do nas, jak czynią to matki w stosunku do zapłakanych dzieci.

Wkrótce zapadła noc i wznieśliśmy się w powietrze. Potem front. Mieśliśmy do rozrzucenia wzdłuż frontu tysiące ulotek. Trzeba się było zniżyć i lecieć tuż nad terenem działań. Widzieliśmy więc dobrze, co to jest front.

Płonęła ziemia, jakby ją kto oblał benzyną i podpalił. Nie było temu kresu wzdłuż i wszerz. Goniły nas rakiety.

Nad ranem byliśmy w Lelczycach. Nie trzeba było skakać ze spadochronem. Wszystko odbyło się normalnie i wkrótce witali nas przyjaciele.

Przywieziona broń sprawiła, że oddział, kilka razy zresztą w czasie naszej nieobecności rozbity, a następnie chyba trzykrotnie zwiększony, rósł teraz w tempie zawrotnym, przeobrażając się w wielkie zgrupowanie, liczące wreszcie około 11 oddziałów. Stało się to, o czym marzyliśmy, nie wierząc w urzeczywistnienie naszych marzeń. Byliśmy wielką polską partyzantką nieakowską. Pokazaliśmy, że i tu na Polesiu idea Polski demokratycznej i ludowej potrafi zgromadzić wokół siebie tysiące Polaków.

Ale stawało się to powoli. Na podstawie pełnomocnictw przywiezionych z Moskwy nasz oddział im. Tadeusza Kościuszki, który w czasie naszej nieobecności wszedł w skład zgrupowania partyzanckiego gen. Begmy i dowodzony był przez Rożkowskiego i Kunickiego, został z tego zgrupowania wydzielony, dając początek nowemu zgrupowaniu polskiemu, które nazwaliśmy dumnie „Jeszcze Polska nie zginęła”. Dowódcą zgrupowania został płk Robert Sałanowski, szefem sztabu kpt. Wincenty Rożkowski. Mnie przypadła rola oficera do spraw polityczno-wychowawczych i redaktora gazety, noszącej tę samą nazwę co i zgrupowanie.

Już tam na lotnisku scementowały się dwa nowe oddziały z żołnierzy przybyłych w czasie naszego pobytu w Moskwie. Oddział im. Traugutta pod dowództwem Zygmunta Konwerskiego oraz oddział im. Emilii Plater pod dowództwem Antoniego Rudki.

Praca wrzała. Miałam teraz całą drukarnię do dyspozycji. Wśród czcionek brakowało ą i ę, ale cóż to znaczyło? Metrampażem został Heko Klek, były warszawski drukarz. Ja byłam redaktorem naczelnym, autorem, administratorem i wszystkim, wszystkim innym. On monotonnie składał literę po literze w długie szpalty, a następnie w kolumny, ciesząc się przy każdej jak Kolumb z odkrycia Ameryki.

I wyszedł wreszcie pierwszy numer gazety. Zdawało nam się, że ten sukces równoważy dopiero wysadzenie w powietrze przynajmniej trzech pociągów. Gazeta w lesie. Gazeta bez redakcji i maszyn, bez dziennikarzy i redaktorów. Artykuły były tak płomienne, iż można było nimi rozpałać ogniska.

Bardzo była nam ona potrzebna. Roznoszona przez żołnierzy, odbywających potężne rajdy dla wykonania zadań minierskich, przekreślała kłamliwe wieści, jakie rozpowszechniali o nas akowcy, iż jesteśmy zruszczonymi Polakami. Poza tym — słowo drukowane. To mówiło samo za siebie. Nikt nam w tym dorównać nie mógł. Praca polityczna nabierała coraz większego znaczenia. Przechodziły do nas poważne grupy, czasem całe oddziały akowskie. Ileż trzeba było żarliwości, by przeciwdziałać temu, co zasiewano w umysłach ludzkich dla osiągnięcia celów politycznych.

Wydawaliśmy więc już ulotki i stałą gazetę. Nie wystarczało nam to jednak. Kiedy do zgrupowania przybył grający na skrzypcach Benedykt Halicz (dziś profesor jednej z uczelni łódzkich), postanowiliśmy zorganizować chór.

I chór powstał.

Kiedy piszę o tym, wszystko zdaje się proste. A przecież było inaczej. Nie zawsze dawaliśmy sobie radę z rozwiązywaniem zawitych problemów. Było ich aż nadto wiele. Jedni żołnierze chcieli się modlić, inni uważali to za nie na miejscu, jedni nosili czerwone opaski partyzanckie na czapkach, inni bez koronowanych orłów ani rusz.

Idąc na ustępstwa, popadaliśmy w konflikty to z towarzyszami radzieckimi, to znów z dowódcami niektórych oddziałów i samymi żołnierzami. Zdarzały się sytuacje tak zawile, że z rozpaczą stwierdzaliśmy, iż walka z myślami przybiera czasem groźniejsze rozmiary niż walka z Niemcami.

Szczęściem na drodze tej swojej „sprawy polskiej” spotykaliśmy takich ludzi, jak stary rewolucjonista Kowpak, subtelny Werszyhora, szlachetny Rudniew, rozumny Saburow.

Ale i oni przecież musieli przeżywać chwile niepokoju, gdy oddawali broń w nasze ręce. Gdzie ona powędruje? Czy czasem nie tam, skąd zacznie strzelać do ofiarodawców?

Nosiliśmy, niby ciężki garb, skutki polityki Rydza-Śmigłego i Becka. Choć to nieludzkie, za winy wodzów odpowiadają i żołnierze.

Kiedy w ubiegłym roku „Pociągiem Przyjaźni” przybyli do Polski gen. Saburow i gen. Begma, pośpieszyłam na dworzec z gorącym pragnieniem powitania ich.

Generała Begmę poznałam nie od razu. Ale biała szczotka włosów Saburowa i jego marsowe spojrzenie, które niepokoilo mnie często we śnie, ujrzałam z daleka. A i on, choć znajdowałam się w tłumie, zawołał: „Popatrzcie, Satanowska”. Jakżesz wiele powiedzieliśmy sobie po kilkunastu latach niewidzenia. Żegnając się z Begmą rzekłam:

— Towarzyszu generale, gdybyśmy wówczas mieli do siebie tyle zaufania co dziś, jakże byłoby lżej.

Na to on:

— Wojna, towarzyszko Satanowska, wojna.

Spotykaliśmy się często z przeróżnego rodzaju nieporozumieniami czy niedomówieniami również pomiędzy sobą. Pamiętam na przykład przybycie do oddziału doskonałego później partyzanta, Sakwińskiego. Podał

się za przedwojennego oficera, podkreślając mocno to słowo „przedwojennego”. A po dwóch tygodniach przyszedł do mnie i z prawdziwą skruchą powiedział:

— Nie jestem żadnym przedwojennym oficerem. A w ogóle jestem komunistą. Ale myślałem, że tutaj tak trzeba. Wiadomo — wojsko.

Śmiałyśmy się z całego serca.

Jakże nieprostą sprawą było dowodzenie tyloma ludźmi, z których jedni byli analfabetami, inni zaś mieli średnie, a nawet wyższe wykształcenie. Jak niełatwo dawało się utrzymać dyscyplinę w czasach, kiedy dawne autorytety padły, a nowe dopiero się rodziły. Zdarzały się tragiczne wypadki niesubordynacji, dokonywania samosądów na jeńcach niemieckich, banderowcach itp.

Mimo to rośliśmy. Rośliśmy nieustannie. Oddziały pęczniały. I praca wrzała. Rozlupywały się na minach kadłuby parowozów, spadały z nasypów wagony, strzelały w górę, łamiąc się niby zapalki, szyny i podkłady. Nie wystarczało nam to. Naszym zadaniem i naszym pragnieniem było iść za Bug.

21 grudnia 1943 r. nie zaprzestając prac minierskich rozpoczęliśmy marsz na zachód przez południowe Polesie celem sforsowania Bugu. Już w czasie tego marszu przybyły nam znowu dwa oddziały. Jeden powstał z grupy przyprowadzonej z okolic Klesowa przez ppor. Wróblewskiego (wkrótce zginął), drugi im. Zawiszy Czarnego z grupy partyzanckiej dowodzonej przez sierżanta Władysława Pawłowa (oderwała się od akowskiej 27 dywizji).

W styczniu 1944 roku do zgrupowania naszego dołączył kilkunastuosobowy oddział partyzantów, węgierskich komunistów, byłych więźniów politycznych, którym dowodził D. Rac. Miał on prowadzić pracę propagandową wśród żołnierzy węgierskich, ale brał udział we wszystkich niemal naszych walkach.

Dziwni to byli żołnierze. Bohaterscy i cisi. Mimo nienawiści do Węgrów, którzy nekali nas wspólnie z Niemcami, tych uważaliśmy za braci. Cierpieli bardzo, iż ich rodacy strzelają do nas i osaczają nas na bagnach. Pięćdziesięcioletni Rac maszerował nieraz po 40 kilometrów na dobę, nigdy nie dając się namówić, by choć na moment usiąść na furmance, mimo że zdrowie zjadło mu więzienie. Przeglądając pamiętnik, jaki prowadziłam systematycznie przez cały czas wojny, znalazłam w nim niedawno dziwne zdanie, wypowiedziane właśnie przez Raca w chwili jakiejś ciężkiej depresji: „Partyzantów jest dużo, będzie ich jeszcze więcej. Ale wy jesteście jedni, jedyni”. Nie spytaliśmy nigdy, co miały oznaczać te słowa. Baliśmy się, że może zbyt wiele.

W zgrupowaniu naszym przebywał przez pewien czas (nim wezwano go do Moskwy, by rzucić na ziemie Reichu) niemiecki oficer, którego matka była Polką. Oficer uciekł do partyzantów, ryzykując przyjęcie na siebie ciężaru nienawiści, jaka płonęła w naszych sercach do faszystów, SS, gestapo. Z jaką pieczołowitością opiekowaliśmy się nim. Jaka darzyliśmy adoracją. Przejęci wielką nienawiścią pragnęliśmy jednocześnie gorąco wybaczać i kochać.

Obiektem dywersji była teraz linia kolejowa Brześć—Łuniniec. W styczniu udało się nam wysadzić trzy niemieckie transporty wojenne, zabijając około 50 Niemców w sześciu wagonach, które wyleciały w powietrze. Prawie codziennie jakaś grupa meldowała o mniejszych sukcesach.

Dotarliśmy do wsi Nowosiele i tu poraził nas tyfus.

Chorowaliśmy i przedtem, ale sporadycznie, nie masowo. Teraz po stu żołnierzy zapadało na raz. Wróg straszniejszy niż Niemcy był między nami, był w nas. Walczyć z nim było nie sposób. Żołnierze wpadali w zamroczenie, krzyczeli nocami „hura!”, zrywali się i nieomylnym instynktem wiedzeni szli za Bug, do Ojczyzny. Dwóch w ten sposób postrzeliła warta. Zmarłych zakopywaliśmy w bagnach, zostawiając na mogile partyzancką czapkę.

W związku z przedłużającą się epidemią Satanowski wydzielił specjalną grupę, z którą wyruszył w rejon Małoryty, aby zbadać możliwości przeprawy przez Bug. Po nawiązaniu tam łączności z miejscowymi Polakami wysadzono na linii Brześć—Małoryta—Kowel pociąg towarowy, a na odcinku Chocisław—Zabłocie zniszczono most, a następnie pociąg ratunkowy jadący w kierunku dokonanej dywersji. Za informacje o ruchach i dyslokacji wojsk niemieckich w tym rejonie przekazane drogą radiową Ukraińskiemu Sztabowi Partyzanckiemu Satanowski otrzymał specjalną pochwałę od szefa sztabu gen. Strokacza.

Bez przerwy pracowało aż pięć radiostacji. Wiele razy przynosiły nam one pochwały, pozdrowienia, życzenia sukcesów. Dwukrotnie pozdrowienia te przyszły od tow. Nikity Chruszczowa. Pamiętał o Polakach, z którymi rozmawiał pod Orłem. Jakąż napawało nas to dumą.

Od grupy rajdowej Satanowskiego odłączył się oddział im. Zawiszy Czarnego, który pod dowództwem por. Czesława Baczyńskiego jako grupa zwiadowcza zgrupowania w pobliżu Włodawy przekroczył wreszcie Bug, osiągając teren Lubelszczyzny.

A zgrupowanie, mimo szalejącego tyfusu, znowu powiększyło się o nowe trzy oddziały: im. Bartosza Głowackiego, im. Stefana Czarnieckiego, im. Jana Kilińskiego. Całość została podzielona na dwie samodzielnie działające brygady. Dowództwo pierwszej objął szef sztabu Rożkowski, dowództwo drugiej — Satanowski. Pierwsza objęła swym zasięgiem Kowel, Kamień Koszyrski, Maniewicze, druga Kanał Królewski, Brześć, Luniniec.

Oddział im. Czarnieckiego, dowodzony przez Henryka Grancowskiego, otrzymał rozkaz przekroczenia Bugu i połączenia się z oddziałem im. Zawiszy Czarnego. Rozkaz został wykonany.

Tyfus zaczął przycichać, więc i my przygotowaliśmy się do marszu za Bug. I nagle zaszły wypadki, które całkowicie pokrzyżowały nasze plany. W marcu radziecki 95 pp przerwał linię frontu pod Sarnami. Prerażeni Niemcy uderzyli siłą trzech dywizji na wojska radzieckie, właśnie w rejonie operacyjnym obydwu naszych brygad. Zostaliśmy wciągnięci w działania frontowe. Wypadki rozgrywały się błyskawicznie. W naszym sztabie dzwoniły telefony, zadrżała ziemia od huku dział, pożary jak okiem sięgnąć przesłoniły niebo, wróżące już niedaleką wiosnę.

Żołnierze nasi jakby czekali tylko na to, by spróbować jeszcze walk na froncie. Minowali Niemcom drogi, spadali im na karki zniecka, przyjmowali rozkazy dowództwa frontu z nienaganną gotowością zadowalającego ich wykonania. Między żołnierzami frontowymi i partyzantami zadzierzgnęły się nici prawdziwego braterstwa. Żołnierzy z armii zachwycała partyzantka, partyzantom podobała się armia.

Po ciężkim boju pod Kortelisami wraz z 95 pp zmuszeni byliśmy wycofać się, zawadzając chwilowo o tereny wyzwolone.

Ochotnicy oblegali teraz zgrupowanie, czekając na przyjęcie. Z Sarn otrzymaliśmy nowe transporty broni. Powstały oddziały imienia Mickie-



Grupa partyzantów ze zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła” (Lubelszczyzna 1944)

wicza, Dąbrowskiego, Pułaskiego, Żółkiewskiego. Całe zgrupowanie wyruszyło w stronę Bugu, by przejść linię frontu między Kowlem i Włodzimierzem Wołyńskim. Udało się to tylko oddziałowi im. Jana Kilińskiego, dowodzonemu przez por. Jana Szafarczyka. Znaczne siły niemieckie umocniły rzeki Turę i Bug, które stały się nie do przebycia dla partyzantów nie posiadających broni ciężkiej. Oddział Szafarczyka, nękany przez wroga w zamkniętym pierścieniu, przekroczył Bug pojedynczymi grupkami dopiero w czerwcu, łącząc się z operującymi już w okolicach Włodawy oddziałami imienia Zawiszy i Czarnieckiego.

Satanowski i Rożkowski wezwani zostali do Ukraińskiego Sztabu Partyzanckiego w Kijowie, skąd Rożkowski w towarzystwie kpt. Podgórnego oraz radiotelegrafisty Kluczewskiego wylecieli wkrótce samolotem z zadaniem dotarcia do oddziałów za Bugiem. Satanowski po zdaniu szczegółowego sprawozdania z działalności zgrupowania sekretarzowi KP(b) Ukrainy N. S. Chruszczowowi z 33-osobową grupą oficerów i podoficerów zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła” z bronią i amunicją wylądował za Bugiem 2 czerwca 1944 r. Pozostali żołnierze i oficerowie zgrupowania zostali wcieleni do Dywizji Kościuszkowskiej. Pierwszy etap działalności zgrupowania został zamknięty. Rozpoczął się drugi.

W okresie działań na ziemiach Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy zgrupowanie „Jeszcze Polska nie zginęła” stoczyło ogółem 35 walk z nieprzyjacielem, zniszczyło 15 lokomotyw, 50 wagonów, kilka samochodów ciężarowych, drezynę oraz 16 żelaznych i 10 drewnianych mostów kolejowych, rozbiło kilka posterunków policji.

W czasie działań na ziemiach polskich zgrupowanie stoczyło 17 walk, zniszczyło 27 lokomotyw, 145 wagonów, drezynę, 20 samochodów ciężarowych, 4 osobowe, 1 pancerny, 3 działa, 2 garnizony Wehrmachtu.

Dużo to, czy mało? Dla nas minione lata partyzantki to cała epopeja trudności, zmagania nieraz szaleńczych i nie wróżących powodzenia, nim

pojawiły się zwiewne jak mgły nadzieje na zwycięstwo, a wreszcie pierwsze sukcesy i radości.

Partyzantka... Kiedy po dziewiętnastu latach segreguje się ją beznamiętną, spokojną relacją, coś najistotniejszego z niej umyka. Partyzantka — to to, co najlepsze, i to, co złe. To wszystko, co człowiek może zrobić i co człowiekowi można uczynić. Otwieram swój pamiętnik z tamtych czasów, by choć na chwilę wskrzesić coś z tej niepokojącej istoty, która wśród długich lat powojennych rozwiała się i znikła.

Ludzie. Jacyż niepodobni do tych, których spotyka się na co dzień. Trudno zapomnieć na przykład takiego Fiedora z Chonuców, który wyprowadził nas w gąszcze, sam wracał na chutor, aby powstrzymać i zdeorientować Niemców. Kiedy krzyčeliśmy, by tego nie robił, odpowiedział z tym dziwnym uśmiechem zażenowania, że przecież „na wojnie musi ktoś ginąć”.

A stary Apanas z Czermienia... Kiedy była nas grupa za ledwie, spojrzawszy na nasze łapcie i wiatrem podszyte kapoty, otarł łzę i powiedział, zwracając się do Satanowskiego:

— Panie, toż zginiecie z chłopcami z zimna i głodu. A u mnie kartofli dwa kopce jak sadzawki, jeszcze poganin nie zagrabił. Chodźcie, przekarmię was do wiosny.

Nikt nie był w stanie zmusić nas wtedy do siedzenia za piecem, ale ścisaliśmy Apanasowi ręce i było nam lżej.

Nie pamiętam, w jakiej to było wsi. Szli za nami Niemcy. Na krótko chcieliśmy się zatrzymać, aby dać odpoczynek koniom. Z pierwszej chaty wyszedł chłop w płótnianej kapocie i wskazawszy ręką swoją chałupę rzekł:

— Dom bez okien, w chlewie kilka snopków słomy. To wszystko, co mi pozostało. Dajcie słomę koniom, wchodźcie do chaty i leżcie na podłodze. Ściany osłaniają od kul.

Leżeliśmy razem z nim, gdy kule były o ściany, i myśleliśmy ze ściśniętym sercem, że my odejdziemy, a on tu zostanie. W pojedynkę przeciw Niemcom. Łupina wobec huraganu.

Obok budzącego nieraz zdumienia bohaterstwa i dobra spotykaliśmy się również często z małością, podłością i złem. Jeszcze częściej ze złą koniecznością. Ileż to razy z ciepłych trupów niemieckich potrafiliśmy ściągnąć buty i mundury w kurzawie pocisków, ślepi na niebezpieczeństwo i śmierć.

Dzień w dzień notowałam te fakty w pamiętniku. Czyniłam to nie z myślą, iż zrobię z niego kiedyś użytek (jak dotąd nie uczyniłam tego), ale z dławiącego wprost smutku, który żądał wyjaśnienia, dyskusji, roztrząsania. Byłam nim omotana niby pajęczyną. Jako jedna jedyna z początku kobieta w oddziale mogłam rozmawiać o tych sprawach tylko z sobą samą. Później, choć było nas już około 30 — a wśród nich tak dzielne sanitariuszki, jak Stasia Surma (obecnie Szafarczykowa) przyproważona przez Stacha Łabędzkiego, Marusia oraz Irena Rożkowska z całym entuzjazmem oddająca się pracy politycznej — dawny smutek nie dał się jednak strzepnąć, wydrzeć, odsunąć. Przez jego pryzmat wszystko widziałam boleśnie i tragicznie.

Krok w krok szły z nami zwierzęta. Konie i woły. Podczas pewnej przeprawy przez tor, gdy zaczęły siać na nas nagle ogniem moździerz niemieckie, ujrzałam rzecz zdumiewającą. Podcięte przerażeniem ciężkie,

toporne woły szły galopem dorównując koniom. Nocami nie spałam później z żalu nad ich niczym niezawinionym losem.

Tyfus to straszna choroba. Z trudem zwalcza ją organizm w idealnych, domowych warunkach. Nasi chorzy przy 40 stopniach gorączki lub przy temperaturze ciała nie przekraczającej 35 stopni odbywali na furmankach, przykryci zaledwie szynelami, kilkudziesięciokilometrowe rajdy przy kilkudziesięciostopniowym mrozie. Na postojach sanitariuszki zdejmowały z wozów sztywne ciała, podobne do wystruganych z drzewa kukiełek. Opierały je o wozy z przerażeniem szukając w twarzach oznak życia. A przecież większość żołnierzy przychodziła wreszcie do zdrowia. Instynkt życia silniejszy był od klęsk, które spadały z zewnątrz.

A często ogarniał nas pusty śmiech, chociaż nie było nam wcale do śmiechu.

Pamiętam pewien morderczy marsz, kiedy wymykaliśmy się z okrążenia. O świcie trzeciej nocy wkroczyliśmy do wsi. Wokół pustka. U wrót wsi zmarznięty, zeszywniały trup. I nagle wycie wilków, smutniejsze ponad wszystko smutne, co znałam. W pustej izbie znaleźliśmy piec i sagan. Worek kaszy mieliśmy ze sobą. Szafarczyk nagotował kaszy. Ale jeść nie było jej ani czym, ani na czym. Więc wylaliśmy kaszę na stół i nabierali ją małymi tekturkami, dławiąc się od śmiechu, na wspomnienie, iż przed kilku dniami zaledwie uciekło z oddziału kilku Polaków z tej jedynie racji, iż musieli jeść z wspólnej misy.

— Dziś by nie uciekli, bo dzisiaj nie ma wcale mis — śmieliśmy się, a wilki wyły, jakby przedrzeźniając.

Śmieliśmy się również gorzko na pewnym chutorze. Stary chłop żalił się, że partyzanci go ograbili.

— Jacy? — spytaliśmy. — Może polscy?

Chłop zlustrował chytrze oficcerski mundur dowódcy, po czym rzekł:

— Polski otriad, pane komandir, toj ne bere. Polaki — to jak ne dajut, to i ne berut.

— A satanowcy, dziadku? Satanowcy nie biorą?

Chłop zamrugał powiekami, zamachał rękoma, przeżegnał się.

— Satanowcy? Tfu czort, Satana. Berut, berut, pośledniu soroczku ściągajut. Takich to jeszcze i nie było. A szczo polskij otriad, to taj ne bere.

Śmieliśmy się z chytrości i przebiegłości chłopca, ale głęboko w duszy niby ziarnko goryczy piekło przypuszczenie, iż być może w cwaniactwie Poleszuka kryje się również prawda. Że żołnierze nasi, idąc na zadanie, pozbawieni kontroli dają upust swoim instynktom czy choćby tylko uczuciu głodu.

A często również śmieliśmy się z całą niefrasobliwością. Niezgrabnym źródłem wesołości okazywał się zazwyczaj Szafarczyk. Czego ten człowiek nie dokazywał.

Bywało że przechodziliśmy przez wieś na wskroś banderowską. Ani jednego mężczyzny, ani kawałka chleba czy szklanki mleka. Tylko kobiety chmurne, nieprzejednane, złe.

Wtedy na arenę wychodził Szafarczyk. Z hukiem przekroczywszy próg chaty brał za bary pierwszą lepszą „mołodycię” i rozpoczynał z nią tańce. Śpiewał jej najpiękniejsze pieśni, oczywiście ukraińskie, szeptał do ucha, również po ukraińsku, najzarliwsze miłosne wyznania.

Rezultat był zawsze zwycięski. Zmęczona „mołodycia”, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu, wołała:

— Pane, beryte wse, tam je u komori, tylki ne rozśmiszajte.

No bo śmiać się z Polakiem to większe przestępstwo, niż oddać mu garnek mleka.

Istniał w całym zgrupowaniu surowy zakaz picia wódki. Szafarczyk był najgorętszym propagatorem tej dosyć trudnej prohibicji. Wystrugał nawet z drzewa miniaturową miarkę, mieszczącą w sobie zaledwie jeden, czy dwa dozwolone kieliszki wódki.

Z jakimże zdumieniem ujrzelśmy kiedyś, że ta miarka się wydłuża i że mieści w sobie w istocie około szklanki alkoholu.

Ten człowiek diabła potrafiłby zapędzić w kozi róg, a cóż dopiero swoje dowództwo.

Albo Michał Skokowski, ulubieniec dowódcy. Cóż to był za niefrasobliwy żołnierz. Granaty nosił w kieszeni niby ulegalki. Raz wybuchły mu, raniąc konia i jemu wyrrywając kawał ciała. Nie przejmował się.

Pamiętam do dziś wypadek z minami. Skokowski założył miny. Niemcy prawie już nadchodzili. W jakimś ułamku sekundy chłopak pomyślał, iż miny mogą nie wybuchnąć, że je na przykład źle założył. Więc, nie zastanawiając się długo, aby sprawdzić, skoczył na konia i galopem pognął przed siebie, wprost na założone miny.

W jaki sposób wychodził z tego wszystkiego żywy, jest niezgłębioną tajemnicą. Szaleńcy mają szczęście.

Zdarzało się wiele kapitalnych wprost sytuacji. Ot chociażby ta. Burzyński i Lohki z Żadenia przybyli kiedyś do Jezior po odbiór dwóch karabinów. Nim jednak dojechali do celu, do domu naszego weszło pompatycznie kilku bardzo wpływowych gospodarzy i od progu zwróciło się do Satanowskiego.

— Pane dochtor, nasi chłopcy zatrzymali na wsi dwóch ludzi zupełnie wyglądających na partyzantów. Mówią, że jadą do was i że są z Żadenia. Jak wy, pane, powiecie, że to porządni ludzie, to zaraz ich puścimy.

Satanowski przysiągł uroczyście, że Burzyński i Lohki to bardzo porządni ludzie.

Kiedy odeszli, wybuchnęliśmy śmiechem. Więc to ci. I tylu ich. Tak się nam dobrowolnie sprezentowali.

Pełniłam w oddziałach funkcję oficera politycznego. Moje wykłady, moje credo polityczne dla wielu, przynajmniej z początku, musiało być rewelacją. Rewelacją trudną. Może złą. Polacy zza Bugu nie zawsze byli oswojeni z ideami, które szerzyliśmy. Co myślą, co noszą naprawdę w sobie? Ileż to razy zadawałam sobie to ciężkie pytanie. Prawie o staję z nami istniała 27 dywizja AK. Świadomość tego faktu była wszędzie. Była między nami. Rozciąć powłokę, dostać się do serc i posłuchać, czy nie biją chęcią ucieczki. Zdarzyło się kilka takich wypadków. Kiedy pod Kowlem nagle na szosie ukazały się szeregi akowców, w błyszczących butach, pięknych mundurach i na koniach — zamarłam. Teraz pokaże się, co osiągnęłam swoją pracą.

Nasi żołnierze wylegli na drogę. Patrzyli. Milczeli. Tamci szli grupkami, godzinami. Cała defilada. Biało-czerwony kolor łopotął na wietrze.

— Chodźcie z nami! — krzyczeli.

Jeden z naszych odpowiedział:

— Spóźnicie się, pociąg za Bug już odszedł!

I nagle samoloty. I ten popłoch wśród tamtych. To spadanie wprost z koni na ziemię. I spokój naszych żołnierzy przywykłych do samolotów jak do much. Drwiny, śmiech.

Za akowcami szła cała armia ludności cywilnej, którą obiecano przeprowadzić za front, by uniknąć mobilizacji do zbliżającej się armii polskiej. Tam czekała ich niechybna masakra, mieliśmy dokładne wiadomości od naszych oddziałów za Bugiem. Otumaniona ludność szła na rzeź, która jej rzeczywiście nie ominęła. Jakżesz dobrymi, jasnymi, mądrymi stały się tutaj właśnie nasze racje polityczne.

Partyzantka — to jedno słowo. Ale nie jednolite zjawisko. To walki, zwycięstwa, walące się z szyn pociągi, ale i sześcioro dzieci, które Groncowski przyprowadził ze sobą do oddziału, i dwoje na wpół zmarzniętych dzieci znalezionych przez Stacha Łabędzkiego w ziemiance, w lesie, obok wygasłego ogniska, trupa matki i szronem okrytej, wycieńczonej z głodu krowy; stara matka Baczyńskiego i tyfus, któremu nie mogliśmy przeciw dać rady, konie z poranionymi nogami, pozostawione na drogach, aby umrzeć samotnie. To i ten trup, którego znaleźliśmy w ziemiankach zlorzcząc i klnąc tych, którzy go zostawili, by się wreszcie przekonać z przerażeniem, że zostawiliśmy go sami, w czasie poprzedniej pośpiesznej ewakuacji. Tragedie i pomyłki, sukcesy i niepowodzenia, czasem beztroska i często bezgraniczny strach.

Historycy utrwalają ją jako zjawisko czysto wojskowe. Ja przeżywałam ją jako ociekający krwią i łzami kawał wojennego życia, które oby się nie powtórzyło.

Tak ją widzę i dziś, po 19 latach, gdy ją sobie znowu przypominam.



T. 2133 / WSK

24P

DRÓZDZ-SATANOWSKA Zofia

Nadriskowe karty inform.

1

B. Rojca 2014

J. 2133/WSK

V-1.

24P

DRÓZDZ-SATANOUSKA Zofia

Brala udział w partyzantce radzieckiej

B. Rojca 2014

DRÓZDZ-SATANOWSKA Zfia

